

Maria Okońska

część III z VI

Sygnatura notacji: **N0052**
Data urodzenia: **16.12.1912 r.**
Data nagrania: **23-25.05.2007 r.**
Miejsce nagrania: **Instytut Prymasowski, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Agata Ziemba, Barbara Pamrow**
Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 22 min, część III: 56 min,**
Format nagrania: **video** **część IV: 44 min, część V: 50 min,**
Język nagrania: **polski** **część VI: 41 min**



TRANSKRYPCJA

INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Maria Okońska: A ja w międzyczasie studiowałam na dwóch uniwersytetach tajnych – oczywiście tajnych, bo to była okupacja – na tajnym Uniwersytecie Poznańskim, który był w Warszawie wtedy, Uniwersytet Poznański, ale był w Warszawie, bo musiał się usunąć, tam była Gubernia... Nie, tu była Gubernia, a tam był Reich, czyli Niemcy w Poznaniu, niemiecki już teren, więc było tutaj. Więc ja studiowałam na Uniwersytecie Poznańskim, będącym w Warszawie, studiowałam pedagogikę z psychologią, a na Uniwersytecie Warszawskim polonistykę. Teraz jeździłam do Poznania, już robiłam różne egzaminy. Ale zbliżał się termin egzaminu magisterskiego. No więc do Poznania muszę jechać. I mam tam profesorów, słynny wówczas profesor Jaxa-Bykowski, inni profesorowie, wszystko tajnie wykładowcy, oni się szalenie narażali. Socjologię poznańską Niemcy napadli, wszystkich wywieźli do Oświęcimia, i studentów, i profesorów. No więc oni się strasznie narażali, ale studenci też się narażali. Dzwonek, to wszyscy drżeli, że Niemcy, bo wykłady były w prywatnych mieszkaniach. Wszystko było konspiracyjne. Ksiądz powiedział: – To jest, panno Marysiu, przede wszystkim bardzo realne. No to ja się tak z Matką Bożą umówiłam, że jak powie realne, ale gdzież by to było, zdumiona byłam, bo w ogóle nie było, ksiądz Wyszyński, powiedział, że wysłucha naszej idei, ale dlaczego ma powiedzieć, że realne. A ja sobie tak pomyślałam: „Jak powie realne, to znaczy, że z Boga”. Jak nie użyje tego słowa, to muszę się zastanowić. I on powiedział, przecież nie wiedział o tej mojej umowie z Matką Bożą. Jak usłyszał, to powiedział: – Moje dziecko, to jest przede wszystkim realne. Ja się wtedy rozplakałam. Te, które siedziały ze mną dziewczyny, nie wiedziały, dlaczego płaczę, bo nie wiedziały o mojej umowie z Matką Bożą. No to jak realne, to znaczy, że Pan Bóg tego chce. No ale na pewno już mówiłam, że „jesteście zwariowane, ale kochane dusze”. Bardzo nam wtedy było miło. Jeszcze bardziej pokochałyśmy księdza Wyszyńskiego, że on nam tak powiedział. Chodziłyśmy przez dłuższy czas na jego wykłady z katolickiej nauki społecznej, które były częściowo w Laskach,

częściowo w Warszawie, w domu księżnej Czartoryskiej. Pierwszy raz byłam w domu księżnej, po dywanach się szło, elegancko wszystko, a to nie był zamek, no ale właściwie pałac warszawski. No i tam ksiądz Wyszyński prowadził wykłady, właśnie z katolickiej nauki społecznej, potem u pani Dernałowicz na Chłodnej. Wszędzie, gdzie ksiądz Wyszyński wykładał, tośmy latały. I uszy nastawiałyśmy i coraz bardziej kochałyśmy księdza Wyszyńskiego. Coraz bardziej widziałyśmy i czułyśmy, że to jest wspaniały człowiek. Ja sobie powiedziałam, że to jest chyba najwspanialszy człowiek, jakiego ja znam. I kiedyś moje dziewczęta, te pierwsze z „Ósemki”, no to był początek przecież „Ósemki”, powiedziały: – Marysia, co byś powiedziała o księdzu Wyszyńskim? A ja mówię: – No wy też możecie powiedzieć. – No to my ci też potem powiemy, ale najpierw powiedz ty. No ja powiedziałam to, co wtedy myślałam naprawdę. I one były zdumione takim moim powiedzeniem, ale apróbowały to. Ja powiedziałam: – Znam tyłu księży, bo w mojej rodzinie, była bardzo katolicka rodzina, masę księży mieliśmy, przyjaciół, znajomych, często przychodzili, i ja powiedziałam, że... Tyłu kapłanów znam, a nie widziałam, nie spotkałam nigdy kapłana tak podobnego – duchowo oczywiście, o duchowość chodzi – do Chrystusa. To jest najbardziej Chrystusowy kapłan, jakiego ja w życiu poznałam. Dziewczęta bardzo się tym ucieszyły i powiedziały: – To my z Tobą też. Po tych naszych listach odpowiedź naszego ojca, to w skrócie Wam powiedziałam, że „idę z Wami łowić ryby Boże” to było najważniejsze zdanie. „Wasz S.W.” No i trzeba było teraz jakoś zareagować na ten list. Więc ja mówię: – No to co my zrobimy? No to one mówią: – Idź do księdza profesora. A on mieszkał w osobnym domu w Laskach, taki śliczny, zielony domek. I miał wykłady do siostr laskowych, prowadził dzieci niewidome, wtedy prowadził siostry. – To idź i podziękuj księdzu. Ja mówię: – No ale może z Wami? – Nie, idź sama. No to muszę iść i podziękować za ten list. Tak była cała heca. Nie mówiłam tego? Stałam przed tym domkiem, był już wieczór, bo w ciągu dnia ksiądz Wyszyński był szalenie zajęty wykładami. A tam było szereg ludzi z takiej wysokiej inteligencji katolickiej, w Laskach wtedy przebywało, nawet chroniąc się przed Niemcami, przebywali w Laskach różni profesorowie. I Ojciec, czyli ksiądz profesor Wyszyński miał do nich wykłady. Więc był zajęty właściwie od rana do wieczora. I dzieciom niewidomym, i siostram laskowym. No ale ja, no muszę iść wieczorem. Zapukałam, no i... Weszłam i nie wiedziałam, co mówić. Zatkano mnie. Ksiądz Wyszyński siedział, pisał coś przy biurku. Zdziwił się, że ja nigdy tak nie przychodziłam tu, pierwszy raz tak poszłam do niego. No i właśnie wtedy powiedziałam, że wyrazy niesłychane wdzięczności nas wszystkich, że ksiądz się zgodził być naszym Ojcem. „Idę z Wami łowić ryby Boże” to jest dla nas znak, że ksiądz już jest naszym Ojcem. Ja przyszłam wyrazić wdzięczność, podziękować za taki list i za to, że ksiądz będzie naszym Ojcem. A ja nie miałam tatusia. No wiecie, prawda? Więc dla mnie ojcostwo to było coś już utęsknionego, upragnionego. To ja już oszalałam z radości, że mam ojca. Bo mój tatuś zginął przed moim urodzeniem. Poszedł, jako ochotnik, walczyć za Polskę, a mamusia już była spodziewająca się dziecka. Urodziłam się z bliźniaczką Wandeczką. I właśnie wtedy tatuś zginął. A ponieważ było z frontu wiadomo, że zaginął, więc do matury czekałam, a może tatuś wróci. No a tutaj ten ksiądz profesor jest taki ojcowski. No to ja mam ojca, no, a jak ja, to moja cała „Ósemka”. Mamy ojca, dziewczęta też nie miały niektórych ojców. To był czas okupacji, gdzie panowie szli walczyć. Pracowali w konspiracji, ginęli. I wtedy... To ja mówiłam gdzieś, ale chyba nie mówiłam Wam tego. Z Lilką, tą moją najukochańszą. Kiedyś mówię do Lilki – ja tak o tej miłości mówiłam – mówię: – Lilka, ja tak tego księdza profesora kocham, on jest tak cudowny, mi się wydaje, że to jest jakby Pan Jezus. To co ja mam robić? A Lilka mówi: – To idź, powiedz mu to. Ja mówię: – Matko Boska Częstochowska! Ja mam iść i mu powiedzieć? Lilka mówi: – Tak, powiedz i zapytaj, czy tak można. Ja mówię: – Dobrze, powiem. Jeżeli Pan Jezus tego chce, to powiem. No znowuż tak, któregoś wieczoru pukam. Ksiądz profesor: – Proszę. Ja weszłam. – No siadaj Marysiu, proszę bardzo, czym ci mogę służyć? Ja mówię: „Proszę księdza, ja mam

coś do powiedzenia, ale nie wiem, jak to powiedzieć”. No wiecie, no nie mogę powiedzieć. Jak to powiedzieć? – To było wtedy w Laskach? – Wszystko w Laskach. W tym okresie przed 15 sierpnia. Po tych wykładach społecznych i... No naprawdę, to powinno się chyba powiedzieć, no bo ja tak nikogo nie kochałam, jak księdza w każdym razie. A tu ksiądz, to ja nie wiem. – No to Marysiu, powiedz, co masz mówić. Ja się plątałam w zeznaniach, nie mówiłam, a potem powiedziałam tak: – Proszę księdza, bo ja strasznie księdza kocham, a ja nie wiem, czy tak wolno. Czy wolno tak kapłana kochać? On spojrzał tak na mnie bardzo serdecznie. Ja mówię: – No to tak można? Ja kocham po Bożemu, święcie, ale czy w ogóle tak można? A ksiądz Wyszyński powiedział tak: – Marysiu, kochasz mnie za mało. Kochaj mnie jeszcze więcej. Ja osłupiałam. I wpadłam w taki zachwyt, po prostu byłam przeszczęśliwa. Jak potem to niektórym mówiłam, zresztą moim profesorom, księdzu Pastuszczu, który był profesorem psychologii, to mówili: „Pani Marysiu, to jest coś niezwykłego. To jest coś tak pięknego. Niech Pani to gdzieś napisze, czy gdzieś powie, bo to jest ksiądz profesor Wyszyński. Tak Pani powiedział? Pani jemu też tak rymnęła o tej miłości? To jest coś wspaniałego. Niech Pani to mówi na chwałę księdza profesora Wyszyńskiego, potem prymasa”. Jeszcze wtedy nie był prymasem. No i rzeczywiście to było coś cudownego. Zatkąło mnie, no jak powiedział „kochaj jeszcze więcej”, to ja sobie pomyślałam: „to jak to zrobić, żeby jeszcze więcej?” I wtedy pomyślałam tak: „Aha, jeszcze więcej – tak sobie powiedziałam – to znaczy tak bardzo miłością Chrystusową, żebym już nie miała cienia wątpliwości, że tak można”. I byłam zupełnie potem spokojna. No i potem kochałyśmy naszego Ojca. Słuchajcie, nikogo na ziemi tak nie kochałyśmy, jak naszego Ojca, księdza Wyszyńskiego. To był precudowny człowiek. Ale to można, nie? Tu nie trzeba wykreślać tego. – Nie, nie. – A ksiądz Wyszyński taki był trochę speszony, a ja też. Były jabłka i gruszki na stole. Mówi: – Moje dziecko, to proszę bardzo, jedz. Ja mówię: – Ale pod warunkiem, że ksiądz zje. No i tak, wiesz, takie były żarciki, no bo tak, żeby... Bo to takie wyznanie, to wiecie, jest takie bardzo wspaniałe, ale takie troszkę żenujące, więc... No tośmy jedli jabłka i gruszki. „Kochaj mnie jeszcze więcej”. Ja powiedziałam: – Dobrze. No i kochałyśmy potem Ojca naprawdę do szaleństwa, ale świętą Chrystusową miłością. Już nigdy nie miałyśmy wątpliwości, czy można tak kochać. Wiedziałyśmy, że taka miłość jest święta. I że kochamy świętego człowieka. To był dopiero rok 1942-1943. No i potem już ciągle... Aha, potem... Jeszcze były wakacje w lipcu, też wykłady Ojca i też... – 1943 roku, tak? – Jak? – W lipcu 1943 roku? – Tak, 1943. A potem... Ojciec zapraszał nas, bo tam wracałyśmy do swoich domów z Lasek i Ojciec powiedział nam: – Drzwi otwarte, siostry Was zawsze przyjmą. Siostry nam powiedziały, że specjalny pokój dla nas szykują, żebyśmy mogły przyjeżdżać, na przykład spowiadać się u księdza Wyszyńskiego, no bo już właściwie obrałyśmy go sobie za naszego duchowego ojca, za naszego spowiednika, nie tylko profesora, ale ojca naszych dusz, no i ojca naszej sprawy. Bo myśmy powiedziały o „Mieście Dziewcząt” i to wszystko powiedziałyśmy, on wtedy odpowiedział: „jesteście zwariowane, ale kochane dusze”. I potem powiedział, że tak kocha to nasze „Miasto Dziewcząt”, jakby to było jemu było dane, tak to pokochał. No i zawsze pozwalał do siebie przyjeżdżać. Dawaliśmy znać siostram, przyjeżdżałyśmy, zawsze miałyśmy spotkanie, przyjeżdżałyśmy we dwie, we trzy. A jak któraś chciała indywidualnie, to mogła sobie jechać sama. I to już był nasz Ojciec. Ja zaczęłam bardzo wcześniej mówić „Ojciec”, a dziewczęta jeszcze nie. Może dlatego, że niektóre z nich miały ojców, a niektórych już zginęli. Ale ja mówiłam „Ojciec”, właściwie prawie od początku. To był mój ojciec. No potem te wykłady i 1944 rok. W 1944 roku wybuchło Powstanie Warszawskie. Ale to jeszcze było hen przed powstaniem. To był jakiś 1944 rok, no tak, może maj. No więc jeździmy do Ojca, spowiadamy się, Ojciec cudne rzeczy mówi, jest najcudowniejszym ojcem i spowiednikiem, kierownikiem duszy, kierownikiem naszej sprawy i... Czujemy, że w powietrzu wszystko drga, będzie powstanie. To się czuło. Już parę miesięcy przed Powstaniem Warszawskim czuło się, że idzie jakiś wspaniały, niesam-

mowity wybuch narodu. Ten naród nie zniesie tej okupacji. To jest dla Polaka niemożliwe. Będzie pewnie powstanie, będzie wybuch. No i jeździliśmy też do Ojca do Lasek i pytałyśmy: – Ojczy, co my mamy... To już był lipiec, kiedy pojechałyśmy do Ojca w kilka. – Co my mamy zrobić? Czy mamy iść do powstania, jeżeli wybuchnie? Czy mamy się chronić przed powstaniem? Wyjść z Warszawy dlatego, że chcemy budować „Miasto Dziewcząt”, nie chcemy ginąć. A jak pójdziemy do powstania, to będziemy ginąć, ale przecież nie chcemy być tchórzami. Nie chcemy się bronić przed możliwością śmierci w powstaniu. „Więc co mamy robić? Niech Ojciec nam powie”. Już mówiłyśmy: „Ojczy – niech ojciec nam poradzi”. Ojciec powiedział o sobie: – Nic Wam radzić nie będę. Pytajcie swoich sumień, pytajcie Pana Jezusa, Matki Bożej, ja Wam nic nie powiem. Ale powiedział on tak: – W mojej młodości – kiedy był już w seminarium duchownym – dwudziesty rok, i no co mają robić? I Ojciec poszedł walczyć. Tak nam odpowiedział. No czyli dał nam odpowiedź. Wziął kilku kolegów, poszli bić się. Tak jak zresztą mój tatuś. No to była dla nas odpowiedź, że nie mamy się gdzieś lokować, nie mamy uciekać przed śmiercią, przed ewentualnym powstaniem, bo się czuło, że powstanie lada dzień wybuchnie. Tylko, że mamy iść do powstania. Tam w Laskach podjęłyśmy, a nie macie pojęcia, byłyśmy ze trzy dni i trzy noce, to myśmy niektóre klęczały nocami do rana w kaplicy Laskowej. Co mamy zrobić, no? Tu Miasto Dziewcząt przed nami, a tu powstanie. Modliłyśmy się jak szalone. Potem szłyśmy do spowiedzi, do Ojca, żeby nam poradził. On nie chciał nic poradzić. – Wy zdecydujcie same. Macie sumienia. Jesteście Polki, decydujcie. I podjęłyśmy decyzję. Po ogromnej męce, modlitwie, kilkudniowej właściwie – idziemy do powstania. Nawet gdybyśmy miały zginąć, co będziemy pisały o Mieście Dziewcząt? Jeżeli Bóg chce, żebyśmy robiły Miasto Dziewcząt, to przeżyjemy. A jeżeli zginiemy, to widocznie Bóg tego chce. Nie możemy się bronić. I prosimy Ojca na naradę. Już wtedy ja mówiłam „Ojczy”, a dziewczęta chyba jeszcze mówiły „proszę księdza”, „księżę profesorze”. No i teraz Ojciec ciekawy, co my zdecydowałyśmy. Bo nie chciał nam nic radzić, tylko tu dał nam to, to co oni zrobili w 1920 roku. No i mówimy Ojcu: – Naszą decyzją jest iść do powstania. Będzie warszawskie powstanie, bo to się czuje, idziemy. Co Ojciec na to? Ojciec tylko uśmiechnął się od ucha do ucha i mówi: – Zdecydowałyście jak prawdziwe Polki, i zdecydowałyście tak, jak ja bym sobie życzył, żebyście Wy – już właściwie byłyśmy duchowymi córkami, bo się połowa z nas już spowiadała – tak, jak moje duchowe córki powinny zdecydować. Czyli miałyśmy odpowiedź. Idziemy, Ojczy, po prostu walczyć. Idziemy walczyć za Polskę. Ale po tych kilku dniach modlitwy w Laskach, jedno ja miałam absolutnie, jakby pada... Co? Coś trzeba przerwać? Jakby poddane przez Matkę Bożą, wiecie? Mianowicie, nie z bronią w rękę, nie nawet jako sanitariuszki, tylko mamy iść do powstania jako apostołowie Jezusa Chrystusa i Matki Świętej. Gdy chłopcy będą na barykadach walczyli z granatami i z bronią w rękę, to my mamy klęczeć, modlić się i jeżeli będzie możliwość, ludzi podnosić na duchu, ludzi wiązać z Maryją, żeby naprawdę Warszawa była absolutnie Maryjną i Chrystusową, szczególnie w dniach warszawskiego powstania. No i powiedziałyśmy to Ojcu, Ojciec się bardzo ucieszył: – Idźcie. A myśmy zdecydowały, że to właśnie będzie apostołstwo. Tylko powiedziałyśmy sobie, że musimy wziąć bardzo dużo obrazków Matki Bożej Częstochowskiej i będziemy wszystkim powsta... Myśmy nie miały pojęcia, jak to będzie i co to znaczy powstanie. No to wzięłyśmy masę obrazków, że będziemy rozdawać. Ale jak to, tu będzie walka, to jak będziemy te obrazki... No nic nie wiedziałyśmy. Tylko wiedziałyśmy, że nie idziemy walczyć bronią, że nie idziemy walczyć granatami. Nawet nie będziemy sanitariuszkami, tylko mamy głosić Chrystusa i Jego Matkę i podnosić ludzi na duchu, kiedy będą załamani. No a potem zobaczycie, cośmy tam wyprawiały po tym powstaniu. Opowiedziałyśmy to Ojcu, Ojciec się rozpromienił, mówił: – Dobrze. Tak już drugi raz mówię. „Tak decydują moje duchowe córki, tak ja bym też zdecydował”. Pobłogosławił nam, no i idziemy, ale to już było tak późno, że jak wychodziłyśmy z Lasek, to był już 1 sierpnia. No więc z Ojca błogosławieństwem lecimy do Warszawy,

a tu już aż powietrze drży, że to powstanie jest tuż, tuż. Oglądałyśmy się, Ojciec stał. Był w komży, w stule, bo wyszedł z kaplicy, z konfesjonatu, spowiadał ludzi i cały czas błogosławił. I widziałyśmy, że jest dumny ze swoich córek, duchowych córek, że nie cofniemy się, nie będziemy się chowały dla przyszłego jakiegoś Miasta Dziewcząt, tylko idziemy walczyć za Polskę. Stał i błogosławił tak długo, że aż myśmy zniknęły hen hen, doszłyśmy do szosy i zniknęłyśmy, obejrzałyśmy się, to już nawet nie było widać. A Ojciec – właściwie potem się dowiedziałyśmy – że stał, jeszcze stał i błogosławił. Lecimy, poleciałyśmy do naszych rodzin, do domów, każda do swojego, no i idziemy walczyć. Znaczący, walczyć nie z bronią, tylko duchem, sercem, walczyć modlitwą, ofiarą, ratowaniem ludzi. No ja polecałam na Grochowską, do mojego domu. Ciocia była chora, siostra mojej mamy, ukochana moja ciocia. Widziałam, że ona chyba umiera, strasznie była chora. I tylko ciocia, oczy, takiej sarny, mówi: – Marysiu, odchodzisz. Ja mówię: – Ciociu, muszę iść do powstania. Będzie powstanie. Ciocia takie oczy zrobiła: – Powstanie? Nikt nie wiedział. No ci, co robili powstanie, to wiedzieli. A ciocia mówi: – Czy się jeszcze zobaczymy na tej ziemi? A ja czułam, że cioci więcej na ziemi nie zobaczę. Kochana moja ciocia. I mówiłam: – Ciociu, temu domowi nic się nie stanie. I nic się temu domowi nie stało. Burzyli domy, a mój dom stał, nic się temu domowi nie stało. Jak się po powstaniu zorientowałam, jak przyszedłam, dom stał, a ciocia odeszła na zawsze. Żegnałam się z mamą. Moja mama powiedziała: – Odprowadzę cię najdalej jak tylko mogę. Myśmy mieszkały na Grochowskiej, a wtedy byłyśmy na Chłodnej, w domu Pani Haliny Dernałowicz, gdzie spędziłyśmy całe powstanie. To znaczący, tam wracałyśmy, a normalnie byłyśmy w akcji. I moja mamusia odprowadziła mnie do Parku Paderewskiego, a mnie serce pękało. Sobie myślę tak: „Moja mamusia kiedyś żegnała mojego tatusia, którego nie znałam. Jak tatuś szedł walczyć za Polskę i przecież nie wrócił”. I wtedy jakieś natchnienie Boże, bo ja nigdy nie kłamię, więc nigdy nie mówię coś bez przekonania, i tak mnie coś jakby walnęło w serce – wrócisz. Ja powiedziałam: – Mama, przysięgam Ci, na Matkę Bożą Ci przysięgam, wrócę. Nie zginę. Moja mama się uspokoiła. – Skąd Ty to wiesz Marysiu? – Od Matki Bożej. Bądź spokojna. Wrócę. Wróciłam. Cioci powiedziałam, że temu domowi się nic nie stanie. Ale ciocia umarła, a kiedy wróciłam, wróciłam za pół roku, bo nie można było, było odcięte, ta druga strona Wisły, Warszawa Centralna i Praga, nie było żadnej możliwości dostania się. No i tam wtedy działałyśmy. I rzeczywiście wróciłam po pół roku. Jeszcze jak wróciłam, to moja mama szlochała z radości, ja mówię: – Ale przecież ci przysięgłam, że wrócę. A ona powiedziała: – No tak, Ty przysięgłaś, ale może Pan Bóg mógłby co innego zrobić, to dlatego ja drżałam o Ciebie przez całe pół roku. No i potem wróciłam po pół roku. A tu lada dzień, lada godzina, wybuchnie powstanie. Udałyśmy się, miało nas być kilka, na Chłodną, trzydzie... Chłodna, do domu tej pani Haliny Dernałowicz, o której już wspominałam. Ona dała klucze od swojego mieszkania, Mieszkała w Warszawie centralnej, środkowej: – Możecie robić, co chcecie, tam w moim mieszkaniu. A tam ksiądz profesor Wyszyński miał wykłady społeczne przed wybuchem powstania, tak że ja znałam ten lokal. I wtedy miało być nas kilka, a raptem my jesteśmy jedna, druga. Policzyłyśmy się – trzy. A tu już ogromne wybuchy. Słyszymy detonację z centralnej Warszawy. No jak to? Powstanie już wybuchło? A no wybuchło. Tak zwana „Godzina W”. Godzina walki, Warszawa, nazywa się to „Godzina W”, czyli wybuch powstania. Ale myśmy były zdziwione, bo tak jakoś szybko, potem się okazało, że powstanie wybuchło przynajmniej godzinę za wcześniej. I to był jeden z ważnych powodów klęski powstania. Bo jakoś było za wcześniej, oni się nie zebraли wszyscy. Jak to się stało, to ja tego się nigdy nie dowiedziałam, że powstanie co najmniej godzinę za wcześniej wybuchło. Ale to detonacje we wszystkich dzielnicach Warszawy, to się zrobiły natychmiast łuny pożaru, od razu. Tu się pali, tam się pali. Huki ogromne, a nas jest tylko trzy. A miało nas być dużo więcej. Po prostu zamknęli mosty. Dziewczyny nie zdążyły przyjść. Może się nie spodziewały, że tak szybko. A może się same opóźniły. I my tak we trzy zostałyśmy. A potem nas było już dużo

więcej w powstaniu. Nie tylko z „Ósemki”, ale innych dziewcząt. – A te trzy Panie to były z „Ósemki”? Pani i dwie Panie, tak? – No tak, to były dziewczyny z „Ósemki”. – I to była właśnie ta Pani przyjaciółka Lilka też? – Lila też. Lila była, Janka Michalska i ja. A my trzy tworzyłyśmy tak zwane trio. – Tak jak na tym zdjęciu? – To jest to trio. Nie, tutaj... Tu jest, nie to, to... Tak tam, tam z tej strony. Trio. To był jakby pierwszy zarząd „Ósemki”. Lilka, Janka i ja. No i tak byłyśmy przez całe powstanie, żadna z nas nie zginęła, doszły potem jeszcze inne. Już jest powstanie. Jesteśmy na ulicy Chłodnej, słyszymy detonację, huk, płomienie, wybuch, powstanie jest. I my wtedy: – Co my mamy robić? A myśmy były wszystkie w AK, to trzeba wiedzieć. Wiecie, co to było AK, prawda? I Janka, i Lilka, ja byłyśmy w AK, ale nie dostałyśmy wezwania, a przed powstaniem powinnyśmy dostać wezwanie. Nie dostałyśmy. I wtedy co mamy robić? Gdybyśmy dostały wezwanie, w tej chwili idziemy tam, gdzie nasze dowództwo nam każe. No ale nie mamy wezwania, powstanie już jest. Już Warszawa się pali. I wtedy taka myśl: „Dobrze widocznie, że nie dostałyśmy wezwania, bo naszym dziełem powstańczym ma być właśnie to, co mówiłam. Apostołować, głosić Chrystusa, mówić o Maryi, budzić otuchę powstańców i ludności cywilnej, po prostu budzić ducha powstańców, ducha religijnego, rzucać ludzi na kolana, niech wyciągają ręce, – zwłaszcza ludność cywilna – do Boga i niech się modlą za powstańców, czyli akcja religijna. Akcja, bezwzględnie, z narażeniem, mamy chodzić, nie chronić się, tylko właśnie budzić ducha, latać, głosić, ale to nie jest walka z bronią”. I nawet powstańcy, jak się zaczęło powstanie, niektórzy mieli, cała grupa miała jeden granat na ośmiu. Tak byli po prostu źle wyposażeni. To też dlatego, że powstanie troszkę może za wcześnie wybuchło, ale też dlatego, że nie byli odpowiednio wyposażeni w broń. Przecież to przynajmniej każdy powinien mieć kilka granatów, a tu jest na ośmiu jeden granat na przykład. I to moi przyjaciele. Przyjaciele, bo jeden chłopiec się we mnie kochał, a ja w nim. Ale nieszkodliwie, bo on został kapłanem, a ja zrobiłam „Ósemkę”. No i powstanie jest. A myśmy sobie powiedziały we trzy, że jak powstanie wybuchnie, to my na kolana i nie opuścimy Chrystusa Eucharystycznego, czyli w Najświętszym Sakramencie. To będzie jakby nasza, zamiast walki, czy nawet pracy sanitarniej, my na kolanach będziemy błagać Chrystusa i Maryję, aby uratowała Warszawę, aby uratowała ludność Warszawy, po prostu ludność stolicy. Powstanie wybuchła, no to co mamy robić? Tu dziewczęta, te wychowanki sióstr, bo to były wychowanki Sióstr Zmartwychwstank, oprócz domu pani Haliny, to był dom Sióstr Zmartwychwstank, no to one od razu do walki. I patrzą na nas z pogardą, że my nie idziemy do walki, tylko klęczymy. Bardzo to boleśnie odczułyśmy. Wyglądało, że my tchórze, że my się boimy. Ale niech sobie myślą, co chcą, niech sobie idą z granatami walczyć, a my spełnimy swoje postanowienie, nie opuścimy punktu modlitwy, naszej mobilizacji w punkcie modlitwy. Nie z granatem, nie do walki, ale na kolanach, żeby wyżebrać u Jezusa i Maryi ratunek dla powstańców, ratunek, żeby ocalała, nie o mury chodzi Warszawy, ale o ludność Warszawy, żeby ocalała ludność Warszawy, bo Pan Bóg raczy wiedzieć, czy to będzie długo, czy krótko. Spodziewaliśmy się wszyscy trzy dni, każdy z nas brał sobie ubrania i jedzenie na trzy dni, a powstanie trwało dwa miesiące. Dwa miesiące: sierpień, wrzesień. Dobrze mówię, tak? Sierpień, wrzesień, tak. No tak, 1 sierpnia się zaczęło. No, więc już jesteśmy w akcji, to znaczy na kolanach. A te dziewczęta tak trochę wzruszały ramionami, co my się tak modlimy, dlaczego? Usłyszałyśmy krzyk z Warszawy. Ludzie, to był wstrząsający krzyk, do wszystkich domów naokoło, żeby ludzie usłyszeli: „Ludzie na barykady, na barykady, do walki!” A my? Te dziewczęta, wychowanki Sióstr Zmartwychwstank poleciały, a my na kolanach. No też jak one leciały, to one myślały, że my stchórzyłyśmy. A myśmy nie mogły opuścić Chrystusa. Wiedziałyśmy, że my mamy klęczeć do upadłego i wymadlać łaskę dla Warszawy, dla powstańców, dla ocalenia stolicy. Nie chodzi o mury, powtarzam po raz drugi, ale ludność Warszawy, żeby była jak najbardziej uratowana. Punkt modlitwy, duchowa mobilizacja do modlitwy za walczącą stolicę. Potem chłopaki z powstania przylatywali, wiedząc, że to jest nasz punkt,

że tam są dziewczyny, to znaczy nas kilka. Myśmy im robiły kluski, ja nie umiałam nic z gospodarstwa, nic z dziedziny kuchennej nie umiałam i nie umiem do dzisiejszego dnia. Wy sobie wyobraźcie, jakie kluski robiłam. No Lilka, Janka robiły, a ja przecież nie mogę stać z pustymi rękami. Ja mówię: – To dyktujcie, co mam robić. Bo ja się nie znałam na gospodarstwie, to one mnie mówiły, ja tylko walałam to tym... No takim, wiecie, co się kluski robi, to tłukłam i potem żeśmy wałkowały, żeśmy robiły kluski, a oni przychodzili, zjadali, no niemal nas całowali po głowie i po rękach, że my im dajemy jeść. Bo te chłopaki były głodne. Wzięli sobie tak kawałek jakiegoś chleba i szli do powstania. A tutaj ta gromada przy tej ulicy Chłodnej, no to rzeczywiście leciała do nas. Ale jak zaczęło się powstanie, to mnie tak to wstrząsnęło, myślę: „Co mam robić?”. One na kolanach, oni na kolanach, no mogę iść na kolana. Ale pomyślałam sobie: „A ja sobie usiądę do fortepianu”. I siadam do fortepianu i zaczęłam grać Warszawiankę. „Oto dziś dzień krwi i chwały”. A ta cała młodzież powstańcza, z Chłodnej, wszyscy stanęli na baczność, mnie aż wstrząsnęło. A ja grałam, grałam, grałam: „Warszawiankę”, „Jeszcze Polska nie zginęła”, „Boże, coś Polskę”. A oni się modlili, stali na baczność, mówili modlitwę. No aż wreszcie powiedziałam: – Dość! A teraz wy do walki, a my do ciasta. My wam będziemy robiły kluski, a wy idźcie na barykady. I tak było przez kilka pierwszych dni. A my z „Ósemki” to była Lilka, Janka i ja, te trzy właśnie. To było... No oczywiście, nie ma mowy, żeby mówić szczegółów o powstaniu. Po pierwsze, to jest napisane, a po drugie, to by się ciągnęło i ciągnęło. No więc tak było kilka dni. A potem się zorientowałyśmy, że już wszystko naokoło nas płonie. Że nasz dom, niedługo będzie objęty ogniem i my zginiemy w ogniu. No to co my zrobimy? Przecież tu jest Pan Jezus w Najświętszym Sakramencie. Siostry Zmartwychwstanki dostały pozwolenie od matki przełożonej, żeby poszły do swoich domów, do swoich rodzin w Warszawie, a myśmy, jak powiedziałyśmy sobie, że dokąd Pan Jezus w Najświętszym Sakramencie jest wśród nas, to my nigdzie nie jedziemy. Nasz punkt walki to jest adoracja Najświętszego Sakramentu, to jest Chrystus. Wyrzekamy się walki, co byłoby radością, przyjemnością, no naprawdę walczymy, dlatego żeby nie opuścić Chrystusa. Kiedy młodzież powstańcza jest na barykadach, ktoś wtedy musi klęczeć i modlić się do Chrystusa i przez Maryję za walczących powstańców. No i tak było. Trochę robienia ciasta, trochę modlitwy. I wreszcie pali się, to wszystko się pali. Trzeba uciekać. Aha i tak się wszystko... A Najświętszy Sakrament był wśród nas. Była kaplica. I wreszcie to było tragiczne. My słyszymy mowę Ukraińców. Okazało się potem, że to było wojsko rosyjskie, Rosjanie, którzy zaangażowali się wobec Niemców i walczyli po stronie Niemców. Jak myśmy usłyszały to ukraińskie gadanie, to myślimy, że oni nas tutaj zabiją. Przecież wiemy, co Ukraińcy... A ludność cywilna z tej dzielnicy Chłodna, to już jest początek Woli, lecieli i mówili tak, że zobaczyli młode dziewczęta, jeszcze tam inni się do nas dołączyli, na kolanach klęczą, modlą się, Pan Jezus wśród nas, widzieli tabernakulum i mówili, krzyczeli ludzie leżąc: – Czyście zwariowali, czyście poszaleli? Przecież Ukraińcy idą, my uciekamy. W ogromnym popłochu uciekali: mężczyźni, kobiety na rękach trzymały dzieci. – Co wy wyprawiacie? I siostry zakonne w habitach. Chyba powariowaliście! – Dlaczego? Tu jest Pan Jezus. My Jego nie opuścimy. – Uciekajcie! Ukraińcy idą za nami i rozbijają kobiety. Ciężarne kobiety – pamiętam to zdanie, byłam wstrząśnięta – ciężarne kobiety tłuką głową i całym tułowiem o ścianę. Wymordowują kobiety, zabijają mężczyzn. Uciekajcie! Uciekli. Jak wicher uciekli. Co my mamy robić? Pan Jezus między nami. Co my mamy robić? Ślubowałyśmy nie opuścić Go. No zginiemy od Ukraińców, przecież nas zamordują. I wtedy matka Małgorzata, przełożona Zmartwychwstanków, tamtych, w tym domu, powiedziała: – Musimy spożyć Pana Jezusa. Wpadną Ukraińcy i zbezczeszczą Najświętszy Sakrament. Więc tym dziewczętom, które były wychowankami Zmartwychwstanków, no i nas było trzy studentki: – Dam wam Komunię Świętą, łyżeczką, bo wtedy jeszcze kobiety nie miały, dzisiaj to oczywistość, że kiedyś tam na przykład na pozwolenie dostają Komunii Świętą, na naszym marszu, czy nawet tutaj. No to dobrze. Wszystkie te dziewczęta

pytają: – A czy my możemy iść do Komunii? – Wzbudźcie akt żalu. Jeżeli nawet macie poczucie, że coś macie na sumieniu i nie powinniście przyjąć Pana Jezusa, wzbudźcie akt żalu, wszyscy spożywamy Pana Jezusa. Słuchaj, to były takie, na całe powstanie przygotowane, takie ogromne kielichy, pełne hostii konsekrowanych, czyli żywy Pan Jezus. Wiecie, że to było coś niesamowitego. Myśmy łyżeczką spożywały takie ilości, żeby przełknąć, a nie miałyśmy śliny w ustach, bo nie miałyśmy już picia, nie miałyśmy już jedzenia. I ja pamiętam, że ja się krztusiłam po prostu. Co ja mam... mam przerwać? Co ja mam zrobić? Mówiłam: – Panie Jezu, no przepraszam Cię. No nie mogłam przełknąć, nawet przegryzałam hostię, bo nie mogłam przełknąć. Pełna usta hostii Najświętszej. A gdzieś potem wyczytałyśmy, że była taka przepowiednia gdzieś, że przyjdą takie chwile, że będą ludzie niemal dusić się od ilości spożywanych hostii, po to, żeby te hostie nie były zbezczeszczone. No i to się między nimi sprawdziło na nas. Całe łyżeczki żeśmy pakowały do buzi. Człowiek nawet wtedy nie mógł klęczeć, no jak to, no musimy to przełknąć. Pana Jezusa nie możemy... Musimy Go spożyć, to jest Komunia Święta, to jest Najświętszy Sakrament. To tak wstrząsające chwile były, spożywanie Pana Jezusa na kolanach albo na stojąco. A te nasze dziewczęta – nie nasze, tylko wychowanki, te uczennice – to one rzuciły się na te łóżka, tam to był przecież internat, rzuciły się na te łóżka i po prostu drżały ze strachu. Bo ciągle słyszymy, że „Ukraińcy idą, uciekajcie”. W pewnym momencie, już byliśmy po Komunii Świętej, spożyliśmy Najświętszy Sakrament, chcemy już wyjść, po prostu wyjść z tego domu i dostać się do centrum Warszawy, a nie być na Woli, gdzie już szaleją Ukraińcy. I wtedy słyszymy jakiś straszny tupot po tym dziedzińcu, bo myśmy już były nie w centralnym domu, który już płonął, tylko się przesunęłyśmy do... To się nazywa? Oficyna, tego domu, który jeszcze nie płonął. Myśmy się tam przenieśli, niektóre dziewczęta, te uczennice też, Siostry Zmartwychwstanki już częściowo poleciały w kierunku Warszawy palącej się, i my słyszymy dziki krzyk Ukraińców. I ten krzyk się zbliża. Zbliża się do naszego domu. A my jesteśmy na parterze, bo góra już była zavalona, na parterze, okna rozwalone, czyli jeżeli Ukraińcy wpadną na ten podwórzec, to spojrzą w kierunku okna, to tu jest trzydzieści dziewcząt i my trzy studentki. Jezus Maria, co mamy zrobić? I wyobraźcie sobie, słyszymy ryk Ukraińców i tupot męskich, szaleńczych, szalonych, rozszalałych nóg. Ukraińcy, Ukraińcy. A oni naprawdę rozrywali kobiety. Straszne rzeczy wyprawiali, nie będę Wam opowiadała, myśmy tego nie widziały na własne oczy, tylko ludzie biegnący krzyczeli: – Uciekajcie! Wy nie wiecie co Ukraińcy robią. No ale, Najświętszy Sakrament, więc spożyłyśmy, już jesteśmy wolne. Ukraińcy akurat przebiegli przed naszymi oknami, to był parter, tylko głowę by skłonili w kierunku tego pokoju, nie było przecież nic, okien żadnych. A wiecie co nas uratowało? Oczywiście Pan Bóg i Maryja. Zastony z papieru, podziurawione już przez granaty, które wisały i tak się zwijały. I znów podskakiwały, i znów opadały, i znów się zwijały. I jedna z dziewcząt oszalała jakby, podleciała do okna i tę zasłonę ściągnęła, żeby całkiem zasłoniła okno. Ja pomyślałam sobie: „Czy ona zwariowała? Przecież płomienie nas spalą”. A te zastony przedtem bujały. Ściągnęła, tak ściągnęła, że zostałyśmy zasłonięte. Dlatego mówiłam: – Jezu, no, pomóż nam, żebyśmy nie spłonęły w tym ogniu. A ona jakby dostała wariacji. Spuściła i raptem słyszymy ryk Ukraińców. Lecą, tupią tymi swoimi butami. I wyobraźcie sobie, w momencie, kiedy przelatowali koło naszego okna, ta zasłona się spuściła sama. Nawet gdyby spojrzeli, nic by nie widzieli, bo była czarna, duża zasłona. To był absolutny cud. Przecież gdyby tylko głowę tak lekko skłonili, zobaczyliby, nie liczyliby, ale ten pokój napchany młodymi, cudnymi dziewczętami. Przecież to były dziewczęta młodziutkie, myśmy były tylko trzy studentki. To był autentyczny cud. Ja wtedy ja oni tak przelatowali i usłyszałam jak oni krzyknęli: „Stjepan”. To znaczy Stefan. Dlaczego tak krzyknęli? A ja wtedy w duszy: „Tak, nasz Ojciec jest Stefan”. Nasz Ojciec, ksiądz Wyszyński, późniejszy prymas, ma na imię Stefan. Ja nie wiem, dlaczego oni tak krzyknęli, pewnie jeden z nich był Stefan. I jeden pewnie drugiego wołał. Ale w momencie, kiedy przelatowali pod naszym oknem, krzyknęli „Stjepan”. A ja

wtedy: „Boże, imię naszego Ojca!“. Którego zawsze uważaliśmy, że to jest Boży, święty kapłan. To imię, czyli Ojciec. W imię Maryi nas uratował. To było wstrząsające. No oczywiście uratował nas Bóg, ale no, takie coś przeżyliśmy. No i potem... Już trzeba było uciekać, nie było rady. Tam wszystko się paliło, wszystko płonęło i matka Małgorzata powiedziała: – Siostry zwalniam z posłuszeństwa zakonnego, możecie iść, gdzie chcecie, do domów, do znajomych, do przyjaciół. Ona z kilkoma siostrami zdecydowała się wyjść, my oczywiście też z nią. Już Najświętszego Sakramentu nie było, bo był spożyty, więc jesteśmy wolne, możemy iść. No i teraz słuchajcie, wychodzimy na tę główną ulicę, Chłodną. Boże! Widok, który się nam ukazał, był tak wstrząsający, że ja zachowałam się jak – przepraszam za wyrażenie – skończona wariatka. Stałam w progu, i zaczęłam krzyczeć: – Boże, jakie to piękne! I potem sobie myślę: „Czy ja zwariowałam?“ Płonie Warszawa, tu lecą granaty, lecą jakieś bomby, a ja się zachwycam. Słuchajcie, to był widok nie... no już w życiu takiego nie zobaczę. Płonące te dzielnice Warszawy, wszystko płonie. Niebo jakieś zakurzone, ale momentami się odślania i jest błękit. Tutaj lecą i krzyczą Ukraińcy, no a ja się zachwycam, więc pomyślałam sobie tak: „Ja się zachowuję niestosownie“. To był, widzicie, to był tak zwany... Exodus, to znaczy wyjście, exodus Żydów z ziemi izraelskiej. A to znam historię i znam to, więc mówię, no to jest exodus Izraela, w tym wypadku exodus Polaków z płonącej Warszawy. No i wtedy zrozumieliśmy, że nie ma co, tylko trzeba uciekać i koniec. Ci ludzie przelecieli, było dziesiątki ludzi, myśmy też poleciały, no i teraz gdzie pójdziemy? Do Sióstr Zmartwychwstanków nie idziemy, bo mamy zadanie, tej modlitwy za walczącą Warszawę. Nie możemy gdzieś tam się pakować do nich. I wyobraźcie sobie, doleciałyśmy, okazało się, że to jest fabryka Norblina. Ja nawet nie wiem, co oni wyrabiali, ta fabryka. Ale tam wszyscy pracownicy, robotnicy tej fabryki i jeszcze inni cywilni ludzie zajmowali ogromną salę na dole. I otworzyli drzwi i krzyczą do nas: „Dziewczyny, ratujcie się, chodźcie!“ Myśmy do nich dołączyły i jesteśmy już bezpieczne. No nie wiemy, bo zaraz się może dom zawalić. Myśmy były już osmalone tym ogniem. Pewnie miałyśmy trochę przerażenia w oczach, bo to było przerażające wszystko. Oni mówią: – Chodźcie do nas! Przemili, kochani, cudowni robotnicy. Przyjęli nas jak rodzone siostry. Zaczęli nas ścisnąć, zaczęli nas karmić, jakieś tam pluje przynieśli. Pluja to była taka zupa powstańcza, to z jakiegoś takiego ziarna, i takie miała długie... Jak wzięteś do buzi łyżkę tej plujki, to takie długie nitki okropne, krztuszące. To się jakoś nazywało. Jęczmień, z tymi właśnie długimi nitkami, które zachłystywała, ale nie było innego jedzenia. On nam przyniesie całe miski tej zupy, mówili: – Wyciągajcie te nitki, ale jedzcie. Jedzcie, bo powstanie dopiero zaczyna się, trzeba mieć siłę, nie wiadomo czy to będzie kilka dni, czy kilka tygodni. Byli przemili, przedobrzy, ci robotnicy fabryki Norblin. No i tak się do nas odnosili, no oczywiście zaraz apostołstwo, zaraz o Panu Jezusie, o Maryi. A ludzie słuchali, bardzo słuchali. Powstali, nawet wtedy nie chronili się, nie myśleli, że to bomby może lecą, tylko jakby tak stawali i pozwalali sobie mówić. I słuchali. I myśmy czuły, że to jest łaska Boska, że oni słuchają, a my, że mamy łaskę gadać do nich, mówić o Bogu, mówić o Chrystusie. No apostołowaliśmy, mówiliśmy o tym, że Warszawa musi być ocalona, przynajmniej ludność Warszawy, ale że to musimy Warszawie wymodlić. I jak nasi chłopcy walczą na barykadach, to my się za naszych chłopców gorąco módlmy. Prowadziłyśmy modlitwy, robiłyśmy różańce ze sznurka, rozdawałyśmy te różańce, ludzie brali, całowali, jak świętość, a przecież to ze sznurka. Potem Lilka chyba latała zawsze do kaplicy, gdzie był ksiądz i on poświęcał te różańce ze sznurka. To tego się masę narobiło i rozdawało. No mówię, że ludzie przyjmowali jak świętość, bo przecież niektórzy ludzie nie mieli różańca. My sobie nie wyobrażamy życia, żeby można było się ruszyć bez różańca w kieszeni.